



# MASON RADE

**MAGDALENA SZPONAR**

„TO BYŁABY PIĘKNA HISTORIA MIŁOSNA,  
GDYBY ARYSTOKRATA NIE OKAZAŁ SIĘ ŁAJDAKIEM,  
A MALARKA ZWYKŁĄ OSZUSTKĄ”.





**MAGDALENA SZPONAR**

**MIASCA  
RADE**

Copyright © 2024  
Magdalena Szponar  
All rights reserved  
WydawnictwoNiezwykłe  
Oświęcim 2024  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

**Redakcja:**

Alicja Chybińska

**Korekta:**

Katarzyna Chybińska

Karolina Piekarska

Edyta Giersz

**Redakcja techniczna:**

Paulina Romanek

**Projekt okładki:**

Paulina Klimek

**Druk i oprawa:**

Abedik S.A.

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8362-348-1

*Kasi, Sandrze i Eddi,  
bo wysłuchały mnie, kiedy tego potrzebowałam,  
a dzięki temu zrozumiałam, że czasami dobrze jest poczuć się źle  
I że to wcale nie złego*



## *Rozdział pierwszy*

*To byłaby piękna historia miłosna, gdyby arystokrata nie okazał się łajdakiem, a malarka zwykłą oszustką...*

Pospiesznie notuję słowa w notatniku telefonu, tak jak zawsze, kiedy najdzie mnie wena. A wydarza się to naprawdę w najdziwniejszych momentach. Zaraz jednak je zmieniam...

*Cholera muszę przestać wkładać siebie w tę historię, myślę.*

Szybko kasuję końcówkę, a na jej miejscu zapisuję: *a lady Charlotte Beringham zwykłą oszustką...*

Uśmiecham się pod nosem i blokuję ekran telefonu. Rozglądam się, znów śmiejąc w duchu, że wena dopada mnie w najmniej odpowiednich momentach.

Teraz na przykład skryłam się w toalecie, zamiast ruszyć tyłek i pokazać się na balu, który został zorganizowany w naprawdę ważnym celu. Powinnam już zmierzać ku kameralnej sali, bo tam ma się odbyć aukcja. A podczas niej zostanie sprzedany

między innymi mój obraz. Liczę na to, że osiągnie dobrą cenę. Tworzyłam go miesiącami i naprawdę nie było to łatwe.

W końcu przedstawia mnie.

Nago.

Oczywiście tyłem, kiedy stoję przed lustrem, a na szklanej tafli opieram dłoń – dokładnie na wysokości twarzy, więc nie widać, kim jest modelka. Jedyne, dzięki czemu można byłoby rozpoznać kobietę z obrazu, są długie, jasne włosy. Dlatego właśnie swoje upięłam w niski kok. Liczę, że to wystarczy.

Poza tym mam na twarzy maskę. Co prawda, jest krótka – zasłania mnie ledwie do nosa – ale powinna się nadać. Wybrałam odcień pasujący do mojej różowej sukienki żywcem wyjętej z siedemnastego wieku i komedii Szekspira. Hasłem przewodnim tego balu był teatr, więc po prostu nie mogłam wybrać inaczej. Choć nie sądzę, by ktokolwiek zrozumiał, za kogo się przebrałam. W każdym razie uwielbiam to, jak materiał leje się po moim ciele przy każdym kroku. Lubię czuć się atrakcyjna, nic na to nie poradzę. A ta kiecka daje właśnie taki efekt.

W końcu chowam telefon do mikroskopijnej torebki, w której zasadniczo mieści się tylko on. Ruszam do wyjścia, a następnie korytarzem kieruję się ku odległej sali, skąd dochodzą mnie odgłosy muzyki i śmiechów. Trochę się denerwuję, dzisiaj po raz pierwszy wystawiam swój obraz na sprzedaż. Jak dotąd zgromadziłam na Instagramie całkiem spore grono odbiorców i to oni zaczęli mnie oznaczać w komentarzach pod postami organizatorów tego przedsięwzięcia.

Fundacja For Her szybko mnie wyczała. Nic nie poradzę na to, że moje instagramowe konto w całości poświęcone jest kobiecym sprawom. Akty, obrazy, fragmenty książek, które piszę na razie do szuflady – wszystko to kręci się wokół szeroko pojętego wyzwolenia, równouprawnienia i seksualności.

Od wiadomości do wiadomości aż... znalazłam się tutaj. W Muzeum Sztuki Współczesnej przy 53rd Street na Manhattanie.



Zatrzymuję się na zakręcie prowadzącym już wprost do sali balowej, z której tylko goście posiadający specjalne zaproszenia będą mogli udać się na aukcję. Jestem wśród nich. Uśmiecham się do swojego odbicia w lustrze rozciągającym się na całą ścianę – zapewne po to, by optycznie powiększyć ciasne wnętrza korytarza. Moja dłoń machinalnie wędruje do szyi, gdzie wisi złoty łańcuszek z maleńkim rubinem – zaproszenie na aukcję. Wydało mi się to dziwaczne, ale później dowiedziałam się, że właśnie taki zamysł ma spowodować, że cała seria wydarzeń, seria charytatywnych balów maskowych, nabierze elitarnego sznytu. Podobno mężczyźni otrzymali zegarki, a za tym wszystkim stał jakiś miliarder, który poświęcił sporą część majątku, by wynieść to wydarzenie na wyższy poziom.

Uśmiecham się do własnego odbicia. Wyglądam pięknie w różowej masce – tajemniczo i seksownie. Pochylam się lekko i kładę dłoń na chłodnym lustrze, odwzorowując scenę z mojego obrazu. Kiedy widzę siebie, w głowie pojawia mi się pomysł na kolejne dzieło, a także na scenę w romansie kostiumowym, który piszę.

Ona i on... poznają się na balu maskowym i wymykają do ogrodów. Brzmi nieźle.

Vera od miesiący suszy mi głowę, że mam to w końcu napisać. Teraz jednak brakuje mi weny, ciągle coś mi się w tej historii nie zgadza, wciąż czuję, że nie jest doskonała. A i Veronica skupia się na czymś zupełnie innym. Na samą myśl o Lucasie, jej ojcu, robi mi się słabo. Nie mogę uwierzyć w to, że ten człowiek... gaśnie. Przecież był... jest dla mnie jak ojciec.

Otrząsam się z nieprzyjemnych myśli. Wiem, że muszę się skupić na tu i teraz, przynajmniej jeśli nie chcę się rozkleić tuż przed aukcją. Wzdycham cicho, a wtedy słyszę za sobą kroki.

Odrywam się pospiesznie od lustra i odwracam, a wtedy zauważam zmierzającego ku mnie mężczyznę. Jest wysoki, bardzo wysoki, a smoking wydaje się na nim leżeć zbyt idealnie.

Dostrzegam jeszcze, że wszystko, nawet koszulę i poszetkę, ma czarne. Przelykam nagłą gulę w gardle, gdy dociera do mnie, że znajdujemy się w tym miejscu sami i prawdopodobieństwo, że ktoś pojawi się na tym korytarzu tuż przed aukcją, jest znikome. A nieznanego spowija jakaś złowroga aura. Albo tylko mi się wydaje. Może mi odbija. W końcu jako autorka mam zdecydowanie zbyt wybujałą wyobraźnię.

Tylko ta maska, cholera. Zakrywa dosłownie całą twarz face-ta, tak że widzę jedynie świdrujące mnie spojrzenie chyba ciemnych oczu. W dodatku została wykonana z materiału przypominającego – i mam nadzieję, że tylko przypominającego! – skórę. Ma charakterystyczny kształt starogreckiej maski teatralnej, tej tragicznej, z wykrzywionymi ustami i smutnymi oczami.

*Ktoś tu zna się na klasycznym dramacie*, myślę, kiedy dostrzegam nawet wytłoczone w materiale zdobienia przypominające loki okalające czoło mężczyzny. Maska w całości jest wyjątkowo oryginalna i przypomina mi rekwizyt z klasycznego horroru.

Wydaje mi się to dość... niebywałe, nawet jeśli sama postawiłam na strój nawiązujący do klasyki teatru.

Nawet nie wiem, że się trzęsę, dopóki nieznanomy nie zatrzymuje się tuż przede mną. Kiedy słyszę jego niski, zachrypnięty głos, w którym pobrzmiewa brytyjski akcent, znów czuję dreszcze. Teraz jednak wydają się mieć zupełnie inne źródło.

Z wielu rzeczy, na które nie mam w swoim życiu wpływu, kiepski gust (przynajmniej jeśli chodzi o facetów) znajduje się na szczycie listy.

– Czy coś się stało, Katherino? – mruczy niczym jakiś książe i pochyla się nieco, jakby chciał zajrzeć pod moją maskę.

*Katherino*. Zrozumiał.

Jestem w tak głębokim szoku, że przez dobrą chwilę jedynie mrugam nerwowo. Odzyskuję rezon dopiero wtedy, gdy on zbliża się o kolejny krok, przez co dzieli nas tyle co kilka oddechów.

Tę różową suknię kazałam uszyć na specjalne zamówienie według projektu z *Poskromienia złościcy*. Ma okrągły kołnierzyk, jeden bufiasty rękaw, drugi postrzępiony i ciasny gorset. Nie sądziłam jednak, że spotkam tu kogokolwiek, kto wychwyci to wszystko.

– Nie, nic się nie stało... Petruccio? – odpowiadam lekko, a przynajmniej mam nadzieję, że tak to brzmi. W oczach nieznanego błyska coś, co podpowiada mi, że docenił żart.

Katherina była złościcą i intrygantką. Aby jej młodsza siostra mogła wyjść za męża, ona musiała trafić przed ołtarz pierwsza. Chętny do ożenku okazał się tylko Petruccio, który dla pieniędzy z posagu zrobiłby wszystko.

– Och – nieznamy łapie się w teatralnym geście za serce – daleko mi jeszcze do tej postaci, ale kto wie, jak skończy się ten wieczór?

Jestem pewna, że się uśmiecha, choć nie widzę niczego poza hipnotyzującym spojrzeniem, które przez maskę i nikłe oświetlenie korytarza wydaje się wręcz czarne.

– Czy mogę odprowadzić cię na aukcję? – dopytuje, zanim zdążę się choćby odezwać.

Moje usta akurat widać i teraz pojawia się na nich lekki uśmiech.

Nieznamy jakby wie, o co mi chodzi, i ostentacyjnie odchyła mankiet marynarki, by zerknąć na godzinę. Dzięki temu zyskuje pewność, że również został zaproszony.

– Jeśli nie chcemy się spóźnić, powinniśmy ruszać, Katherino.

Śmieję się. Te słowa, ten niewinny flirt połączony z brytyjskim akcentem powodują, że moje serce bije mocniej. Jesteśmy dwójkiem obcych sobie ludzi, a ta rozmowa wydaje się skrajnie dziwaczna, a jednak czuję, że wszystko jest tak, jak należy.

– Na to nie mogę pozwolić, mój drogi – odpowiadam i kłaniam się lekko, jak przystało na damę.

Dobiega mnie chrapliwy śmiech, a moje serce gubi uderzenie lub dwa. Gdy się prostuję, dostrzegam, że mężczyzna wyciąga ramię, które z ochotą przyjmuję. Ruszamy i odzywamy się jednocześnie:

– Artystka?

– Kupiec?

Przymykam usta, na które ciśnie się uśmiech. Zerkam w górę, ale maska jest tak szczelna, że nie dostrzegam nawet skrawka skóry nieznanego.

– Tak – szepczę, na co on spogląda w dół.

– I tak – odpowiada.

Uśmiecham się, a po chwili... potykam.

Piszcząc cicho, o mało co nie lecę na twarz, kiedy zahaczam szpilką o lekko zrolowany dywan.

Mężczyzna łapie mnie szybko i mocno, a nie dalej jak sekundę później łąduję w jego ramionach. Opieram dłonie o twarde bicepsy, co czuję nawet przez materiał marynarki, a on zaciska ręce na mojej talii.

– Cóż za niespodziewany zwrot akcji – mruczy, a ja przełykam ślinę.

Wiem, że przy mojej masce jest w stanie dostrzec rumieńce pojawiające się nagle na moich policzkach.

– Zupełnie niespodziewany – wykrztuszam, jak oczarowana spoglądając w jego ciemne oczy.

– Gdyby to było przedstawienie – kontynuuje – Petruccio z pewnością pocałowałby Katherineę.

– A Katherinea z pewnością by mu na to nie pozwoliła – odpowiadam miękko.

Znów dobiega mnie ten chrapliwy śmiech, a zaraz potem zostaję ustawiona do pionu. Nim się obejrzę, kroczy dalej, tylko teraz mężczyzna dodatkowo trzyma dłoń na mojej dłoni. Dostrzegam na jego kciuku sygnet, ale pod tym kątem nie jestem w stanie zobaczyć, czy ma jakieś charakterystyczne zdobienia.

Jakimś sposobem nagle zapragnęłam się dowiedzieć, kim jest mój towarzysz.

Chwilę później przechodzimy obok sali balowej i kierujemy się na mniejszą, kameralną, w której wzdłuż ściany, za zabezpieczeniem w postaci grubej czerwonej linii rozstawiono kilkanaście większych i mniejszych obrazów.

Mijamy je spokojnie, przyglądając się w ciszy każdemu z nich. Wiem, że za chwilę dojdziemy do kolejnego, który jest mój. By zmylić mężczyznę, pytam szybko:

- Więc... czy coś wpadło ci w oko?
- Tak – odpowiada, zerkając na mnie. – Ty.
- Och.

Nic więcej nie wydostaje się z moich ust. Ten facet... jest jednocześnie tak bezczelny i pewny siebie, a także wydaje się kulturalny i wręcz dystygowany. W dodatku ten akcent. Tak, to z pewnością sposób, w jaki mówi, sprawia, że wariują wszystkie moje mechanizmy obronne.

Tak naprawdę nie wiem nawet, dlaczego wciąż trzymam jego ramię. Dlaczego zachowujemy się tak, jakbyśmy przyszli tutaj razem.

Nim zdołam jednak jakkolwiek zareagować, na salę wlewa się tłum ludzi, którzy szybko zajmują miejsca tuż pod sceną. Mój nieznajomy prowadzi mnie do pierwszego rzędu i czeka, aż usiądę, a potem rozgaszcza się tuż obok. Nagle żałuję, że nie mogłam zabrać ze sobą Very. Rozumiem, że chce być przy ojcu w tych najcięższych chwilach, ale jej obecność naprawdę by mi pomogła.

Tymczasem mężczyzna nachyla się nade mną i szepcze mi do ucha:

- Czy i ty skusisz się na jakiś obraz?

Czuję, że się czerwienię, a jak dotąd trudno było wprawić mnie w zakłopotanie. Nie wiem, co powiedzieć. Jeżeli zaprzeczę, od razu się domyśli, że pewnie jestem autorką któregoś z dzieł.

I nawet jeśli jest ich tu sporo, a każde wydaje się inne, to nie chcę, by prawda wyszła na jaw. Zamierzam bawić się podczas tej serii charytatywnych balów, a to stanie się niemożliwe, jeśli ktoś odkryje moją tożsamość. Przecież namalowałam własne akty!

*Zawsze mogę potwierdzić*, myślę nagle. W końcu stać mnie na wylicytowanie jakiegoś obrazu, prawda?

– Zobaczmy, czy znajdzie się coś, na czym warto będzie zawiesić oko – rzucam w końcu, uśmiechając się lekko.

Nieznajomy nie odpowiada, ale odnoszę wrażenie, że śmieje się cicho pod tą maską.

– Zobaczmy – potwierdza i wyraźnie słyszę w jego głosie rozbawienie.

Wzdycham cicho, próbując opanować dziwne nerwy, które nagle odczuwam. Stresuję się, choć nie do końca rozumiem dlaczego.

Nawet jeśli nikt nie kupi mojego obrazu, to nic złego się nie stanie, prawda?

Nadal będę miała tysiące obserwujących na Instagramie, inne obrazy rozsiane po galeriach Nowego Jorku plus książkę, którą właśnie piszę, a którą Vera obiecała wydać, kiedy tylko ruszy z imprintem Desired Books.

Co prawda, nie wiem, kiedy to nastąpi. To był wspólny projekt mojej przyjaciółki i jej ojca, a teraz, kiedy on choruje na raka, wszystkim zmieniły się priorytety.

Chwilę później rozpoczyna się aukcja. Dwóch przystojnych pomocników w czerwonych rękawiczkach i liberiach w tej samej barwie przynosi na stojak kolejne obrazy. Denerwuję się coraz bardziej, bo wiem, że już następny będzie mój. W dodatku podczas licytacji padają tak horrendalne sumy, że obawiam się, iż mojego dzieła nikt nie kupi.

W dodatku facet obok zdaje się bardziej zainteresowany mną niż samą aukcją i niczego nie licytuje. Zerkam na niego co chwilę,

podczas gdy on siedzi prawie bokiem i świdruje mnie ciemnym spojrzeniem.

Jeśli mam być szczerą, to trochę przerażające.

– Czy mam zacząć się bać, drogi Petruccio? – żartuję, by ukryć zakłopotanie.

– Tylko jeśli będziesz się trwożyć o moje serce, Katherino – odpowiada nisko, a ja momentalnie poważnieję.

Odchrząkam i spoglądam na scenę, na którą właśnie wnoszony jest mój obraz. Nie wiem, czy nieznajomy widzi we mnie jakąś reakcję, ale dopiero wtedy zerka w tamtym kierunku i pyta:

– Wpadł ci w oko?

– Może... – odpowiadam, wierząc się na krześle.

Jak przy pozostałych obrazach aukcja zaczyna się od symbolicznej kwoty tysiąca dolarów. Nie chcę się rozglądać, więc wpatruję się jedynie w starszego mężczyznę w smokingu, który dzierży w dłoni młotek.

– Tysiąc po raz pierwszy! – krzyczy dosłownie sekundę później. – Dwa tysiące! – dodaje po chwili, a potem... Potem wszystko dzieje się tak szybko, że ledwo nadażam. – Pięć! A nie, już mamy dziesięć! Dziesięć tysięcy, kto... – Nie może nawet skończyć zdania, a już informuje: – Dwadzieścia tysięcy dolarów.

Mrugam z zaskoczenia. Najdroższy jak dotąd obraz został sprzedany za pięćdziesiąt tysięcy. Wiem, że mam talent, wiem, że moje obrazy są piękne, ale nie sądzę, by cena tego aktu mogła się zbliżyć do takiej kwoty.

I dość szybko zostaję wyprowadzona z błędu.

Dosłownie czuję, jak mężczyzna tuż obok unosi dłoń, a wówczas podchodzi do nas osoba z obsługi, która pochyła się nad nieznajomym, by ten podał jej kwotę licytacji.

– Pięćdziesiąt tysięcy! – oznajmia pracownik.

Po całej sali roznoszą się ciche westchnienia.

A ja... nie wiem, może jestem zamroczona, może trochę pijana, a może po prostu szalona, jednak podnoszę rękę. Młodzianka dziewczyna podchodzi do mnie i wtedy podaje jej kwotę:

– Siedemdziesiąt pięć tysięcy.

– Moi państwo – odzywa się licytator – mamy siedemdziesiąt pięć tysięcy po raz pierwszy, po raz drugi i...

*Co ja zrobiłam?*, myślę, zastygając nagle, a wtedy po mojej lewej rozbrzmiewa donośny, męski głos:

– Sto tysięcy.

Zerkam w bok, choć pewnie powinnam się powstrzymać. Wtem gdzieś z tyłu robi się zamieszanie, a mężczyzna prowadzący aukcję pyta głośno:

– Dwieście? – Widzę po jego minie, że sam jest zaskoczony. – Dobrze, a więc dwieście tysięcy po raz pierwszy.

*Nie, to się nie dzieje*, myślę, kiedy nieznajomy obok mnie wstaje i mówi:

– Pół miliona i skończmy tę zabawę.

Słyszę jedynie głośne westchnienia, piski i szmery cichych rozmów. Mam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Pół miliona po raz pierwszy, po raz drugi i po raz... trzeci! – krzyczy licytator, a wokół wybuchają oklaski. – Sprzedano obraz autorstwa L. Hardy o wdzięcznym tytule „Me, myself and I”!

Patrzę na mężczyznę, który wyciąga z kieszeni marynarki wizytówkę i przekazuje ją pracownikowi, który podchodzi ze złotą tacą. Czekam, aż znajdzie się ona na scenie, a wówczas poznam nazwisko kupca.

– Och, nasz donator pragnie pozostać anonimowy – rozlega się głos ze sceny, a ja bezwiednie zaciskam szczęki. – W takim razie zaraz po aukcji zapraszam pana do gabinetu na pierwszym piętrze.

Aukcja toczy się dalej, a nieznajomy znów siada i nie odzywa się ani słowem.



Czuje, że zaczynam się dusić. Jeśli zaraz stąd nie wyjdę, zrobię coś głupiego. Na przykład zacznę krzyczeć.

Pół miliona... Doprawdy?

Mam dziwne wrażenie, że on wie. Po prostu wie, kto jest na tym obrazie.

Przełykam gulę w gardle i wstaję gwałtownie. Zaraz też ruszam przed siebie, korzystając z okazji, że na scenę wchodzi kolejny kupiec.

Przechodzę szybko przez drzwi wprost do korytarza, który z kolei prowadzi mnie na przestronne patio. Momentalnie owiewa mnie chłód lutowego powietrza. Marzę, by w końcu nastąpiła wiosna, lecz teraz cieszę się, że przynajmniej to mnie otrzeźwia. Pocieram ramiona i idę dalej, zagłębiając się między obumarłymi jeszcze roślinami. Patio oświetlają latarenki, ale nawet mimo to panuje tu półmrok, w którym przyjemnie jest się schować.

Chcę dać sobie parę chwil, a potem wrócić po płaszcz i wymknąć się niepostrzeżenie. Nie muszę zostawać do końca, w zasadzie nie musiałabym być tu w ogóle. Po prostu ogromnie mnie ciekawiło, jak wygląda taka aukcja. Moje obrazy, a w zasadzie akty, wiszą w kilku galeriach w Nowym Jorku, ale nigdy nie były licytowane.

*Pół miliona*, przemyka mi przez głowę.

Ten facet jest szalony.

W tej samej chwili słyszę za sobą, jak ktoś przesuwa drzwi, a jednocześnie na moment dobiega mnie gwar dochodzący z wnętrza. Odwracam się i na tle przeszklonego, zalanego światłem korytarza widzę jedynie ciemną sylwetkę. Rozpoznaję ją od razu.

To on. Facet w czarnej, teatralnej masce. Nagle pragnę się dowiedzieć, kim jest.

– Często wymykasz się do ogrodów, Katherino? – pyta niskim, pełnym rozbawienia głosem.

– A ty często śledzisz kobiety? – prychnam.

– Tylko te, które chcę obdarować – odpowiada.

Tego się nie spodziewałam. Milknę, a on to wykorzystuje i podchodzi bliżej. Nagle w głowie pojawia mi się scena, która mogłaby rozegrać się w alternatywnej rzeczywistości. Ona i on, w ogrodach, po ucieczce z okropnie nudnego balu, łamią wszelkie zasady przyzwoitości i...

Potrząsam lekko głową, chcąc wyzbyć się słów napierających na mój umysł. Mówią, że karma to zdraдлиwa suka. Nie mogę się z tym zgodzić... Prawdziwą suką jest wena – pojawia się w najmniej odpowiednich momentach i odbiera ci rozum.

– Kupiłeś ten obraz dla mnie? – pytam, unosząc głowę, bo nieznajomy zatrzymał się ledwie trzy stopy przede mną, a jest naprawdę wysoki. Jego ciemne włosy odbijają światło latarni, a w mojej głowie pojawia się głupie pytanie, czy mężczyzna rzeczywiście może mieć tak lśniące włosy. Wydaje mi się to dość niesprawiedliwe.

– Owszem – przyznaje.

– Więc jesteś jeszcze bardziej szalony, niż myślałam – pry cham.

Odnoszę wrażenie, że on w tym czasie się uśmiecha. Wiele bym dała, by móc teraz zobaczyć jego twarz.

– Dlaczego? – pyta. – Ponieważ możesz sobie namalować kolejny, panno Hardy? – mówi wesoło, ale wiem, że mnie prowokuje.

Milczę. Cholera, ten facet zbyt łatwo potrafi wprawić mnie w zakłopotanie.

– Dlatego, że właśnie wychodzę, a ten obraz nie zmieści się mi do torebki – odpieram w końcu, na co w odpowiedzi słyszę jego niski śmiech.

Pozwala się minąć, nie reagując w żaden sposób.

– To tyle? – zatrzymuje mnie, kiedy już prawie docieram do drzwi. – Będę musiał pogodzić się z tym, że nie udało mi się poskromić złościcy?

– Najwyraźniej. – Uśmiecham się słabo.

– Nie zgadzam się na takie zakończenie – mówi szybko, kiedy kładę dłoń na kłamce.

– Najwyraźniej nie potrafisz przegrywać – szepczę i spoglądam na niego po raz ostatni, a potem przechodzę przez próg i znikam z balu jak pieprzony Kopciuszek.